

DREAMTHIEF

“GLUSZA CIERPIEŃ”

Biegli koło zapory wodnej. Od terenów zabudowanych dzieliło ich zaledwie parę metrów, gdy nagle za ich plecami spuszczone została bomba skacząca. A może jednak był to pocisk lub jeszcze coś innego? Niestety, nie zdążyli zauważyć, choć nie ma to akurat teraz już żadnego znaczenia. Skupić powinniśmy się na tym, iż zaporą została zniszczona, a chłopcy ze względu na siłę wybuchu, zostali wrzuceni w najbliższe krzaki.

- Po co Barnes Wallis wspominał to swoje dzieciństwo?! Gdyby nie to, nie przypominałby sobie, jak puszczał kaczki po stawie jako dziecko, i nie zbudowałby na podstawie tego bomby takiej, żeby ta odbijała się od wody! - krzyczał w szale Romek próbując wydostać się z zarośli.
- Przestań się drzeć, bo zaraz nas zauważą! - przekrzykiwał go Tadek. - Poza tym raczej nie była to skacząca bomba, bo stosowali ją podczas II wojny światowej, więc jeżeli już, to jest to jakaś ulepszona wersja lub zupełnie coś innego. I nigdy nie zostało potwierdzone, że wtedy wpadł na ten pomysł. Po prostu za dużo razy czytałeś “The Dam Busters” tego Paula Brickhilla, czy jak mu tam było. Wymądrzasz się teraz, zamiast stąd uciekać.
- Dobra waśniaku, ty się lepiej orientuj, bo to tobie głowę odstrzelą zaraz, jak nie zaczniemy biec, w ciągu następnych dziesięciu sekund.

Tadek obejrzał się przez ramię i w głębi duszy przyznał rację Romkowi. Żołnierze zbliżali się już ścieżką z głębi lasu prawdopodobnie, aby zbombardować najbliższe osiedle. Zaczęli biec. Kolejne piętnaście minut wypełnił im dźwięk, równomiernie branych oddechów, przerywany od czasu do czasu, głośniejszym sapnięciem. Biegli obrzeżami, bo przecież wojsko parło głównie do centrum. Gdy dobiegli do bazy słońce chyliło się już ku zachodowi. Obskurny budynek poplamiony gdzieniegdzie krwią poległych w walkach przypominał im, że nie są tu bezpieczni. Weszli, więc z pewną niepewnością, która to na wojnie interpretowana jest jako zjawisko normalne i bardzo powszechne, zważając na to, iż niczego a przede wszystkim nikogo nie można być pewnym. Minęli betonowe schody prowadzące na kolejne piętro, a raczej to co z owych schodów zostało. Ruszyli w stronę drzwi prowadzących na podwórze. Tam czekał na nich dobrze już znany im burdel. Nie bałagan, nieporządek czy nieład, tylko zwykły burdel. Trzeba bowiem nazywać rzeczy po imieniu. Większość podwórza zajmowały sporej wielkości kawałki betonowych ścian, z różnych budynków, które znajdowały się w

poblizu. Romek mógłby nawet przysiąc, że pewnego dnia przechodząc między całym tym śmietniskiem, zauważył nawet kawałek czyjejś ręki wystający spod płyty. “Pewnie kogoś przygniotło” pomyślał tylko, a o swoim odkryciu nigdy nie poinformował kolegi. Wiedział bowiem, że ten jako ambitny poeta, a więc bardzo empatyczny człowiek, przejąłby się nad wyraz tym zjawiskiem, które niestety, ale na wojnie było tak normalne jak to, że alkoholik potrzebuje alkoholu do tego, żeby przetrwać. Jedna rzecz wynika z drugiej. Ot taka zwykła zależność. Idąc między różnymi odpadkami usłyszeli nagle ciche miałczenie w głębi podwórza, co było jednoznaczne z tym, że koty które uratowali poprzedniego popołudnia podczas patrolu jeszcze żyły. Nie wystraszyło ich też najwidoczniej żadne większe poruszenie w okolicy, co oznaczało, że teren był stosunkowo bezpieczny. Jeżeli w ogóle można tak powiedzieć o terenie objętym aktywną wojną. Gdy już udało im się minąć cały ten syf, skręcili za pobliskim habaziem czy innym chwastem, jak to lubił określać, Tadek i weszli, przez praktycznie już zarośnięte drzwi do swojego tymczasowego lokum. Nikt ich nie przywitał, nie przytulił ani nie powiedział pokrzepiających słów, z prostej przyczyny, nikogo z bliskich im osób już nie było. Wszyscy umarli w walce o swój kraj swoim kosztem, bo umrzeć czymś kosztem to umrzeć niegodnie. Bo śmierć w walce a śmierć bez walki to jedna i ta sama śmierć, ale jednak lepiej się umiera ze świadomością, że chociaż się próbowało. Tak bynajmniej pisała Hanna Krall w swojej książce “Zdążyć przed Panem Bogiem”. Tak, więc oni też próbowali i byli wdzięczni, że mają chociaż siebie, bo w czasie wojny, gdy nie ma już nikogo znajomego, trzeba sobie znaleźć kogoś nieznanego, jakąś miłość, bratnią duszę, dla której się będzie spało z jednym okiem zamkniętym, a drugim otwartym, dla której będzie się codziennie rano wstawać i iść na pole walki, bo inaczej co począć? Jak już nie ma dla kogo i po co walczyć? Dlatego cieszyli się, że mają chociaż siebie, bo to dawało im namiastkę, okruszek swoistej normalności, której pragnęli i za którą tęsknili, ale której przecież mieć nie mogli. Gdy wstali następnego dnia słońce już weszło nad horyzontem, nie wiedzieli, która była godzina, ich zegarki oddane zostały jako zapłata za broń i naboje. Romek z Tadekiem od razu zabrali się za śniadanie. Jedli to co zdołali ukraść poprzedniego dnia. Menu zapowiadało się następująco: butelka wody, dwie kromki chleba na głowę i dwa plasterki szynki. Panowie, więc nie narzekali i racząc się tym posiłkiem rozmawiali o sprawach na wojnie dość istotnych, mianowicie o broni wroga.

- Gdy biegłem ostatnio Dzierżyńskiego obito mi się o uszy, że ktoś budował nowe bombowce, na podstawie Hampden. Wiesz tych co wprowadzili w ‘38 a wycofali w ‘45.

- Te co produkowała firma Handley Page w Wielkiej Brytanii? - zapytał Romek.
- Tak te. Zastanawiałem się nad tym, dlaczego. Dalej nie wiem. Niby była wybitnie efektowną maszyną i szybką. Jak na tamte czasy oczywiście. Już logiczniejsze byłoby skupić się na modelu Hawker Hurricane. Były solidne, proste w konstrukcji i obsłudze, więc pilotowali także niedoświadczeni ludzie, a jakoś dawali radę. Choć w sumie je także wycofano w '45.
- Po co w ogóle mieliby skupiać się na starych samolotach, skoro mamy teraz nowsze modele i bardziej nowoczesne? Na nich mogliby się wzorować. - powiedział po chwili namysłu Romek.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, zastanawiając się jak mogliby ukryć się przed nowymi maszynami podczas ewentualnych patroli, w tym mieście, gdzie psy szczekały dupą, a podczas II wojny światowej zdecydowanie zbyt wiele ludzi mówiło po niemiecku. Tak bynajmniej powiedział jednemu z nich pradziadek, więc za prawidłowość tegoż stwierdzenia nie daliby sobie ręki uciąć. Szczególnie, że ta była im akurat w obecnej sytuacji dość potrzebna. Na takich rozmyślaniach minęło im śniadanie, po którym wyruszyli razem na codzienny patrol. Przeczesując pobliskie zarośla nie natrafili jednak na nic podejrzanego ani na żadnych żołnierzy z wczorajszego ostrzału, których pozostawiono by do ewentualnego zlikwidowania tych, którzy przetrwali.

*

- Jak tam te twoje wiersze? - odezwał się nagle Romek, gdy szli w stronę swojego schronienia.
- A nie miałem weny ostatnio. Niby coś tam pisałem, ale zastanawiałem się czy to ma w gruncie rzeczy sens, skoro szansa, że kiedykolwiek je wydam w wolnej Polsce jest, bądźmy szczerzy Romek, dość mała - powiedział Tadek, jednocześnie kopiąc w to co zostało ze żwirowego kiedyś chodnika, a obecnie wgłębienia w ziemi otoczonego z dwóch stron betonowymi liniami. Niczym obraz, który nie ma końca ani początku. Niczym obraz kraju, który nie potrafi żyć bez katastrofy.
- Ora et labora – rzekł beznamiętnie Romek.
- Co? - Tadek popatrzył na niego z pełną niezrozumienia miną.
- Módl się i pracuj - odpowiedział jego kolega, po czym przyspieszył i zostawił go w tyle.

Tadek przystanął na ułamek sekundy na tym niekończącym się obrazie nędzy i rozpacz, po czym ruszył przed siebie kręcąc potakująco głową i w myślach przyznał rację koledze. Co mu innego pozostało?

*

- A może powiesz mi coś o sobie? Mieszkamy razem od 2 miesięcy a ja praktycznie nic stary o tobie nie wiem - zapytał Tadek odrywając wzrok od swojego notesu. Dochodziła 16 i powoli zaczynało się ściemniać.
- Myślę, że nie rozmawiałbyś ze mną tak chętnie, gdybyś więcej o mnie wiedział - odrzekł Romek, jednocześnie dokładając różne resztki mebli, które znaleźli w okolicy, aby zablokować drzwi, przed ewentualnym włamaniem wrogiego wojska. Stało się to zresztą co wieczornym rytuałem, niczym mama czytająca Ci co wieczór bajki na dobranoc, tylko w trochę innej formie. Był wyraźnie zdenerwowany.
- Czy ja wiem, aż tak mroczna jest twoja przeszłość? Chyba trochę dramatyzujesz, stary - powiedział z przekonaniem Tadek.
- Powiedział wiecznie zanurzony w myślach, niespełniony poeta – zdenerwował się Romek jednocześnie odwracając się przodem do współlokatora tegoż przybytku, w którym oboje mieszkali. - Przypuszczam, że ty też nie jesteś czysty, tylko Ci się tak wydaje. Własne błędy nie są dla wszystkich widoczne, bo są oswojone, są nasze, więc z bliska nie widać szpetnych szczegółów. Ciebie po prostu jeszcze nikt nie uświadomił, mnie niestety tak - powiedział, po czym odwrócił się do niego plecami, i jął dalej przekładać kawałki starego dębowego regału. Tadek bez słowa wrócił do pisania wierszy, postanowił nie drążyć tematu.

Zresztą co Romek miał mu powiedzieć? Że miał ojca, który był alkoholikiem, częściej więc chodził pijany niż trzeźwy, co wiązało się z niekończącymi się awanturami, o to co akurat "było pod ręką". Nie zamierzał mu przecież opowiedzieć o tym, że pewnego dnia, gdy ten upił się bardziej niż zwykle i zaczął okładać Romka pięściami, gdy wchodzili po schodach, ten odepchnął go od siebie. Wcale nie mocno, ale ilość procentów w żyłach jego ojca zdecydowanie wystarczyła do tego, aby ten stracił równowagę i z hukiem zleciał ze schodów odbijając się od każdego stopnia. Głowa mu latała jakby nie była przytwierdzona do ciała, jakby była odmienną częścią, tylko chwilowo przytwierdzoną do jakiejś większej całości i poruszała się we własnym rytmie. Odbijała się jak jego dziecięca piłeczka, którą uwielbiał spuszczać ze schodów, gdy był małym chłopcem. Widok ten często śni mu się przecież w

nocnych koszmarach. Jak się szybko okazało umarł na miejscu. Chłopak wykopał mu grób, a matka jeszcze tej samej nocy wyrzuciła go za drzwi, wyzywając go od największych bękartów tego świata. A Romek przecież mówił, że mu przykro, że przeprasza i że to był zwykły wypadek. Mówił tak, bo przecież tego oczekuje się w podobnych sytuacjach, choć w żadnym wypadku się tak nie czuł. Uważał, że dobrze, że to zrobił, nawet jeżeli był to tylko wypadek. Musiał zginąć inaczej to on by ich zabił. Ale przecież nie przyzna się do tego Tadekowi. Równie dobrze kolega może teraz zakończyć jego żywot, jako odkupienie za to co Romek zrobił swojemu ojcu. A chciał jeszcze trochę pożyć. Sprawa nie uległa przecież przedawnieniu. Nie minęło 30 lat, a trup jego ojca przypuszczalnie uznany zostałby jako niewinna ofiara tej strasznej wojny, jeżeli kiedykolwiek by go odnaleziono i zidentyfikowano. Był przecież dawnym członkiem Sił Zbrojnych RP. Wolał, więc nie ryzykować. Nikt przecież nie przyszedłby mu na odwet, niczym w lecie 1943 roku, gdy ludobójcze mordy na wołyńskich Polakach sięgnęły szczytu, a miejscowe struktury AK nie mogły udzielić im żadnej poważniejszej pomocy. I tym razem nie byłoby żadnych zasadniczych powodów.

*

W tym samym czasie, w którym Romek odtwarzał w myślach raz po raz w swojej głowie kadry z ostatnich chwil życia swojego ojca, Tadek wpatrywał się pusto w notatnik udając, że coś pisze. Myślał o tych wszystkich zwierzętach, które brutalnie katował, niektóre nawet zabił, siedząc na placu niedaleko swojego rodzinnego domu i nie uważał tego za nic złego. Aby sprecyzować to stwierdzenie należy dodać, że wtedy nie uważał tego za nic złego. Dziś było dobre pięć lat później oraz bogatsze o różne doświadczenia, których podczas podróży od tamtego wtedy do wiekopomnego dziś Tadek doświadczył. Choć w zasadzie umiał swe dziecięce zachowania uargumentować. Bo gdyby był sam to nigdy by się tego nie dopuścił. Nawet przez myśl by mu nie przeszło. Albo nawet gdyby był z tylko jednym kolegą. Może jakoś by się wykręcił. Ale to już nawet nie chodziło o kasę, której potrzebował na jedzenie, a o którą się założyli, tylko o reputację na dzielnicy, a to była już poważna sprawa. Co by o nim pomyśleli koledzy? Pewnie zaczęliby wyzywać od naiwnych bab i delikatnych ślicznotek, a tego chciał przecież uniknąć. Szacunek u kolegów święta rzecz i bardzo ważna sprawa. Musisz sobie na niego zasłużyć. Tadek wiedział, jak wygląda sytuacja, więc nawet nie musieli go długo namawiać. I tak się z niego przecież śmiali, tragiczna sytuacja finansowa w domu, matka zamknięta w tzw. psychiatryku i siostra, która nie chciała mieć z nimi absolutnie nic wspólnego. Gorzej być nie mogło, a przecież takie informacje rozchodzą się

niczym świeżee bułeczki w piekarni. Więc spróbował, bo i tak miał w życiu przechlapane, nie chciał sobie dokładać. Dalej to już łatwo poszło. Mimo tego, że z ludzi, którzy mogliby wyciągnąć obecnie konsekwencję z jego czynów w młodości, nikt się nigdy najwidoczniej nie dowiedział, to chłopaczyna miał wyrzuty sumienia dzień w dzień. A żeby jakoś tak sobie ulżyć, to zaczął pisać wiersze o tym co go spotkało. Z czego czasem się śmiał, został przecież w ostateczności taką empatyczną panienką, jak określiliby go kumple z dzielni. Tylko, że kumpli z dzielni już nie było, a dzielnia też raczej leżała w ruinach. Więc pisał i dobrze wiedział, że nigdy tego nie wyda, nawet gdyby żył w wolnej Polsce. Prędzej zatrudniłby się jako śmieciarz, niż pozwolił, żeby psiarnia na jego osiedlu miała pretekst, aby go wsadzić do więzienia nawet na te głupie 3 lata, które były określone w 35 artykule kodeksu karnego. Znał go przecież na pamięć. Więc tak sobie żył z tą świadomością, nie mówiąc niczego Romkowi, jednocześnie starając się obecnie odkupić swoje grzechy, przygarniając na "ich" teren małe kotki. Zresztą co Tadek miał mu powiedzieć?

*

Kolejne dni mijały im niespiesznie i dość rutynowo. Codzienne czynności różniły się od siebie tylko porami, które uzależnione były od pojawienia się żołnierzy, którzy jak zdążyli po czasie zauważyć Romek z Tadkiem, wysyłani byli na regularne przeszukiwanie miasta. Koledzy nie rozmawiali ze sobą na zbyt wiele tematów. Od czasu do czasu jednak tchnęło, któregoś z nich i urządzali sobie krótkie pogawędki przy mętnej herbacie. A rozmawiali o naprawdę różnych rzeczach. Poczynając od pisania ikon, kończąc na literaturze. Romka szczególnie zaczął interesować ten temat. To znaczy temat literatury. Choć bardziej od niego samego interesowała go pewna osobistość jaką była Jadwiga Zamoyska. Wielokrotnie przecież zastanawiał się, czy gdyby jego rodzice przeczytali przynajmniej jedną z jej książek, a dokładniej miał tu na myśli książkę "O wychowaniu"; o której swoją drogą dowiedział się od Tadka; to sprawy inaczej by się potoczyły. Może inaczej by go wychowali i nic złego by się nie stało? No, ale przecież to był wypadek. A poza tym rodzice też musieliby być wtedy inni, a to oznaczało reperację jeszcze dalszej części jego drzewa genealogicznego, co w żadnym wypadku nie wchodziło już w grę. Dziadek bardzo pobożna osoba, wieloletni pisarz ikon i babcia, niedoszła zakonnica, której rodzice pokrzyżowali plany na życie w klasztorze, skazując ją na wieczne haftowanie i cerowanie jako krawcowa. Choć w sumie może oni też byliby skłonni ją przeczytać? Pisała przecież na długo przed ich narodzinami i była służebnicą Bożą Kościoła katolickiego, a oni przecież byli bardzo wierzący. Choć teraz to mogło być różnie, nie widział się z nimi od dobrych paru lat, równie dobrze babcia mogła

mieć żal do Boga o to, że nie przyjął jej w swe ramiona, bo przecież jakby chciał to by mógł. Dziadek mógł mieć żal do Boga, bo skoro ten nie wziął natrętnej babki pod swe skrzydła, skazał go na pięćdziesiąt lat udręki z tą kobietą. A poza tym mogli równie dobrze już nie żyć. Była przecież wojna, mało kto się ostał cały. I tak źle i tak niedobrze. Rozmyślenia te, więc po chwili porzucił i jął zajmować się pracami fizycznymi, które to wyłączały jego myślenie, potocznie ujmując. Robił wszystko na autopilocie i jakoś sobie radził. Tadek natomiast zagłębił się w temat pisania ikon. Szczególnie, gdy dowiedział się, że tym zajmował się dziadek jego kolegi. Zbyt religijny to on nie był, ale przecież jedno nie wyklucza drugiego, prawda? A, że Romek bardzo wbrew pozorom był z dziadkiem zżyty, to sporo się od niego dowiedział. Najbardziej lubił opowieści o twórczości Jerzego Nowosielskiego. Po pierwsze człowiek zmarł stosunkowo niedawno, więc jego ikony nie odbiegały za bardzo od obecnych standardów, a techniki przygotowywania materiałów, konserwowania ich, szlifowania i sklejana nie były jeszcze przestarzałe. Tak, więc on też zdobywał wiedzę na tyle nowoczesną na ile nowoczesna mogła ona być w tamtym momencie. I tak się między sobą wymieniali, bo wymienianie się wiedzą jest jedną z najcenniejszych walut, jaka kiedykolwiek istniała. I tak mijały im te dni, jak już wspomniałam rutynowo, przerywane od czasu do czasu pogawędkami o ich nowych zainteresowaniach, co by się w tej szarej rzeczywistości nie zatracili całkowicie. I tak sobie żyli, bo jakoś żyć było trzeba.

*

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Nawet nie zapukali. Najpierw zajęli się Romkiem, który zdecydował się zdrzemnąć prawdopodobnie w najgorszym momencie swojego życia. Wyciągnęli go za nogi z materaca, na którym leżał i zafundowali ogłuszający cios w głowę pistoletem VIS – 100, który jeden z żołnierzy zdążył znaleźć w pomieszczeniu.

- Cholera, tylko nie VIS - wymamrotał do siebie Tadek.

Pistolet był bowiem w miarę nowym nabytkiem, bo z 2019 roku, a obecnie był przecież dopiero 2023. Zastępowano nimi przestarzałe makarowy kal. 9 mm rosyjskiej konstrukcji. Była to obecnie broń osobista w Siłach Zbrojnych RP. Tak przynajmniej przekazał mu Romek, który nie chciał przyznać się Tadekowi skąd go wytrzasnął. Chociaż może nie obecnie, skoro Tadekowi i Romkowi właśnie siłą je odebrano. Ale do Sił Zbrojnych też przecież nigdy nie należeli. Nie mieli, też aktualnie żadnej innej broni. W dodatku jeden z nich był właśnie w stanie braku jakiegokolwiek świadomości, dopiero przecież się obudził, co tylko pogarszało sprawę. Gdy uporali się z Romkiem zabrali się za Tadeka. Nie miał szans,

czterech na jednego i to jeszcze bez broni. Wyciągneli go na zewnątrz, gdzie stała już reszta ich ekipy. Zaciągneli ich na pobliski pagórek. Posadzili pod murkiem, który prawdopodobnie był pozostałością czyjś domu. A może raczej ruinami, pozostałość brzmi jak pewna większa całość, co nie pokrywało się z tym co aktualnie widzieli przed oczami. Odwrócili ich plecami i strzelili. Od razu. Z ich "własnych" pistoletów. W tył głowy. I to był koniec. Nie pomogły żadne czołgi Leopard, KTO Rosomak, armatohaubice Krab czy moździerz Rak. Nie było tam przecież żadnych polskich żołnierzy. Dowódcy stwierdzili bowiem, że na tym terenie nikt już nie pozostał a wrogie wojska się nimi nie zainteresują, skoro to już praktycznie ruiny. No, ale jednak zostali. Ci dwaj, których historia na pewno nie nadawałaby się do opowiedzenia w książce, bo była zbyt zwyczajna, choć gdyby opowiadano o niej na codzień między ludźmi, to uważano by ją za coś niezwykłego, bo przecież każdy z nich starał się ostatecznie w jakiś sposób zrekompensować światu to, co zrobił w przeszłości. Ci dwaj, którzy zdecydowali się bronić ojczyzny za darmo, ci dwaj, którzy nie korzystali z wojskowych racji żywnościowych, bo po prostu nie mieli do nich dostępu, ci dwaj, którzy nie byli członkami Sił Zbrojnych RP co równoznaczne było z tym, że nikt już o nich nie pamiętał, nie mieli już przecież żadnej rodziny, poza sobą nawzajem. W końcu ci dwaj, którzy zostali przeoczeni przez system, bo tak się czasem zdarza, każdemu. A wtedy jakoś trzeba sobie radzić, a oni radzili sobie najlepiej jak potrafili. I mimo, że w końcu swej podróży próbowali prowadzić w miarę normalne życie, znajdowali nowe pasje i starali się czerpać radość z życia przy okazji naprawiając w sobie to, co było kiedyś zepsute, praktycznie wychodzili z siebie z wysiłków. I mimo, że starali nie zapaść się w tej szarej rzeczywistości to jednak nie zwyciężyli. A u schyłku życia, gdy już wiedzieli, że to ich koniec nie rozstrząsali tego zbyt bardzo, bo jak to pisał Aleksander Fredro: "Przy schyłku życia na cóż grzebiesz w swojej przeszłości? Cóż tam zobaczysz? trochę szalu..., trochę błędów..., trochę głupstwa... Na prawej drodze - ciernie, obok pociechy - trwogę, obok nadziei - zwątpienie." Cóż, więc ich żywot skończył się w sposób można by rzec tragiczny, na wojnie jednak w sposób dość powszechny. Tak więc, co? Tak, więc wyszli z siebie i już do siebie nie wrócili. Bo tak się czasem zdarza. Nawet częściej niż czasem.